

KOŃCA NIE WIDAĆ. FARSA W TEATRZE NOWYM



IZABELA
ADAMCZEWSKA
„GAZETA WYBORCZA”

MARCIN STERPIEN / AGENCJA GAZETA



„Czego nie widać” – próba prasowa

Najgorsze, co można zrobić, realizując farsę, to znudzić odbiorcę. Jeśli przez pierwszą godzinę widzowie reagują na to, co dzieje się na scenie, rzadkimi, powściągliwymi chichotami, to coś jest nie tak. Wracający do teatru po 30 latach Paweł Dangel powinien uzbroić się w nożyczki i lepiej przemyśleć dynamikę przedstawienia.

Ci, którzy skorzystali z przerwy, żeby opuścić teatr, wyszli z Nowego w przekonaniu, że obojętni straszliwy gniot. I trochę tak miało być, bo „Czego nie widać” Frayna eksploatuje motyw teatru w teatrze – zespół aktorski przygotowuje się do odegrania na głębokiej prowincji głupkowatej farsy „Co widać”. Pretensjonalna gosposia chroni chlebobdawcę, który ukrywa się przed urzędem skarbowym, po schodach biegną dwie miłosne pary, pojawia się włamywacz, a w finale nawet szejka z opuszczonymi do kostek spodniami. Czyli typowa farsa, w której jest aż siedem par drzwi.

„Co widać” reżyseruje w bólach Lloyd, we własnym mniemaniu stworzony do współtworzenia dzieł o niebo ambitniejszych (w drugim akcie powróci chyłkiem jako spełniony reżyser szekspirowskiego „Ryszarda Trzeciego”). Idiotyczność fabuły zdaje się irytować nawet jego. Nie satysfakcjonuje też zespół aktorski – grająca gos-

posię Dotty to zdetronizowana celebrytka z humorami, Selsdon powracający po długiej przerwie na scenę jako włamywacz tylko rozgląda się za whisky, a młodzianka Brooke ciągle gubi soczewki kontaktowe i gra jak paprotka. Poziom komplikacji podnoszą sardynki, które w odpowiednim momencie trzeba wnieść na scenę.

„Co widać”, które powinno być rozbiegówką dla właściwej akcji, ciągnie się w Nowym jak flaki z (sardynkowym) olejem. Dynamiki spektakl nabiera dopiero w drugim akcie, w którym aktorów marnej farsy pod-

**„Czego nie widać”
w reżyserii
Pawła Dangela
rozczarowuje.
Widz, który
do przerwy
nie skona z nudów,
ożywi się dopiero
w drugim akcie**

glądamy od kulis. Uczuciowe trójki i wynikające z nich napady zazdrości doprowadzają do kompletnej degrengolady. Kiedy „komedianci” zaliczają na scenie widowiskową katastrofę, publiczność śmieje się już w głos. Niestety, trochę za późno.

To, że Andrzej Bart zaczął swoją kadencję dyrektora artystycznego w Nowym od wprowadzenia do repertuaru farsy, jest decyzją nieco dziwną, biorąc pod uwagę jego nader ambitne plany, ale nie niezrozumiałą. Jak wiadomo, farsa zawsze wpływa korzystnie na stan kasy. Zdzisław Jasku-

ła też okraszał repertuar „Romami i Julianami”, a na „Mayday” zawsze były komplety. Tekst Frayna jak na farsowe standardy głupi nie jest, jego atrakcyjność opiera się na autotematyczności. Pokazanie rozpaczliwych zmagania reżysera z materiałem kompromituje nieco sam gatunek, a także teatr komercyjny (zabawny jest pomysł Dangela, żeby „urealnicić” product placement – na scenie Nowego „ulokowano” prawdziwego producenta konserw rybnych, firmę King Oscar). To się mogło udać, ale w spektaklu Dangela nie ma nic z zapowiadanej zabawy konwencjami. Nawet scenografia – wnętrze młyna z ospale poruszającym się skrzydłem (Paweł Dobrzycki) – jest tak siermiężna, że bardziej pasuje do „Co widać”...

Aktorzy robią wszystko, żeby uratować spektakl. Ostatni akt zdecydowanie zdominowała Katarzyna Żuk, brawurowo grająca Dotty i wyraźnie różnicująca postać „prawdziwą” od „fikcyjnej” (pani Clackett). Nie przekonuje Przemysław Dąbrowski jako reżyser, Dymitr Holówko w roli włamywacza-Selsdona nie dostał szansy na pełne wykazanie się warsztatem. Obecność na scenie Lucyny Szerok (Brooke) sprowadza się głównie do mizdrzenia do widza.

Na próbie medialnej Dangel straszyl, że żeby zrozumieć, co tak naprawdę wydarzyło się między postaciami, trzeba obejrzeć farsę kilkakrotnie. Rzeczywiście, nie wszystkie motywacje są jasne (wyraźniej można było pokazać relacje w trójce Garry – Freddy – Dotty), ale na to, że trzygodzinne „Czego nie widać” będzie mieć psychofanów, raczej bym nie liczyła. ●